

**MICHAŁ
BAŁUCKI**

POLOWANIE
NA ŻONĘ

Michał Bałucki

Polowanie na żonę

«Public Domain»

Bałucki M.

Polowanie na żonę / M. Bałucki — «Public Domain»,

Radca Rzepski wraz z małżonką wydają uroczyste przyjęcie pożegnalne z okazji wyjazdu radczyni na urlop zdrowotny. Wśród wielu zaproszonych gości jest hrabia Rumpell, mężczyzna mający wielkiego pecha w relacjach z paniami. Na przyjęciu jest również Pelagia, kuzynka gospodarza, stara panna, która jako jedyna się nie bawi. Hrabia Rumpell dostrzega w niej swoją szansę na ożenek, zwłaszcza że pewne słowa Rzepskiego interpretuje jako wskazówkę, że kobieta jest bogata... Wtedy rozpoczony się komedia pomyłek. Polowanie na żonę to nowela autorstwa Michała Bałuckiego, jednego z najśłynniejszych polskich autorów okresu pozytywizmu. Bałucki znany jest przede wszystkim jako powieściopisarz i komediopisarz, był również publicystą. W twórczości prozatorskiej odwoływał się do tradycji powstańczych, a także propagował idee pozytywizmu, jako autor dramatów nawiązywał do Aleksandra Fredry. Do jego najśłynniejszych utworów należą Dom otwarty i Grube ryby.

Содержание

I. Wielki wieczór pożegnalny u państwa Rzepskich	5
Конец ознакомительного фрагмента.	10

Michał Bałucki

Polowanie na żonę

I. Wielki wieczór pożegnalny u państwa Rzepskich

Było to w pięknym miesiącu Maju, a mianowicie w dzień świętej Zofii, patronki pani Rzepskiej, która była małżonką pana Rzepskiego, radcy sądowego, od lat dziesięciu. Dziesięć lat temu – właśnie w ten sam dzień, – pani Zofija oddała z pełnym zaufaniem w ręce nieletniego już pana radcy wzgardzone przez innych panieństwo swoje i od tamtej chwili aż dotąd dochowywała mu z nieposzlakowaną czystością wiary małżeńskiej, do czego bardzo jej pomagało nie zbyt powabne jej oblicze i wszelki brak pokus ze strony płci męskiej. Małżeństwa tego Opatrzność nie pobłogosławiła, czyli mówiąc językiem świeckim, pani Zofija pomimo zachęcającego przykładu ze strony patronki swojej – nie miała potomstwa, o co jednak nie należałoby może winić wyłącznie Opatrzności, jak to czynił bezbożnie pan radca. – Zresztą, oprócz tego małego niepowodzenia, małżeństwu owemu powodziło się wcale dobrze.

Otóż na uczczenie tego nieposzlakowanego i szczęśliwego małżeńskiego pożycia, na uczczenie rocznicy ślubu i imienin, a nadto na pożegnanie małżonki swojej mającej wyjechać do kąpiel krajowych, pan Rzepski za namową żony swojej postanowił wydać wielki wieczór pożegnalny.

Tu dla uspokojenia nerwowych czytelniczek i usunięcia obaw względem stanu zdrowia szanownej radczyni, muszę powiedzieć, że właściwą chorobą, która ją zmuszała do wyjazdu do kąpiel, było siedm sukien. Dla wyjaśnienia tego chorobliwego stanu trzeba nam wiedzieć, że szczodra natura obdarzyła panią Zofię aż siedmioma ciociami, a każda z tych cioc czy tam ciociów, w sekrecie przed drugą przygotowując solenizantce na ten uroczysty dzień, jakąś niespodziankę; wskutek podobieństwa gustu familijnego przygotowała jej suknię, i pani Zofija na kilka dni przed imieninami otrzymała w prezencie od siedmiu cioc z siedmiu stron siedm sukien, w siedmiu kolorach. Prezenta te sprawiły obok przyjemności nie mały kłopot solenizantce. Co zrobić z tą całą tęczą kolorów? zachować w szafie? wyjdą z mody. Zadziwiać niemi mieszkanki gubernialnego miasteczka? to wydawało się jej za małym tryumfem. Wielki świat małego miasteczka wydawał się pani radczyni za małym do podziwiania tych arcydzieł kunsztu krawieckiego. Z tego powodu pani radczyni poczęła się trapić, straciła sen, apetyt, kolory, humor, słowem zachorowała na siedm sukni. Wezwany na konsylium miejscowy lekarz, który znał wszystkie słabości pani radczyni i znakomicie leczyć je umiał, zdecydował, że jedynie kąpiele zdolne są pomódz pani radczyni na jej dolegliwości i to tylko kąpiele krajowe, które są zarazem wystawą sukien i toalet. Zawiadomiony o tem postanowieniu lekarskim mąż, przed którym rozumie się zatajono istotny powód choroby, zgodził się lubo z wielką boleścią na rozstanie się na czas jakiś z najdroższą połowicą swoją i na uczczenie jej a zarazem wyrażenie żalu swego postanowionym został ów wielki wieczór, o którym wspomnieliśmy na początku tego rozdziału.

Pospraszano co było dostojniejszego w mieście jako to: pana burmistrza wraz z korpulentną magnifiką jego; pana prezesa sądu bez żony, przeważnie z tego powodu, że jej nie miał; panią hrabinę Rzeszowską mieszkającą tu dla dewocyi z nieodstępnym jej Filusiem, którego proszę nie uważać przez pomyłkę za syna pani hrabiny, bo ten nazywał się Felisem i praktykował w zawodzie dyplomatyczno-katolickim w Rzymie. Następnie zaproszono właścicielki córek celem zaopatrzenia salonu w tancerki, jako też złotą młodzież powiatową reprezentowaną tutaj przez urzędnika towarzystwa asekuracyjnego, wielkiego eleganta i tancerza – przez pewnego emigranta młodego i wcale przystojnego człowieka, który w wczesnym już wieku zmuszony był emigrować ze szkół powiatowych do Warszawy, a stamtąd w skutek długów uciec znowu w charakterze emigranta na prowincję; – a na koniec przez barona Rumpell już niepierwszej młodości kawalera, którego

głównym zajęciem było poszukiwanie szlachetnych metalów w okolicy i eksploatawanie takowych za pomocą związków małżeńskich. Dotąd przedsiębiorstwo to pomimo licznych nakładów za strony barona nieopłacało się i gdziekolwiek baron uderzył i począł dobywać się do złotych min, wydobywał zawsze tylko kosze. – Kolekcja tych koszy, gdyby baron chciał z nich zrobić wystawę, byłaby bardzo zajmującą; były tam bowiem i koszyki z mitrami i szlacheckie i mieszczańskimi rączkami plecione a nawet jeden koszyk izraelskiego pochodzenia, gdyż pan baron był zasad demokratycznych, postępowych i różnica stanów wcale go nie odstraszała od posagów.

Pomimo tych zasad i usiłowań pan baron nie mógł korzystnie spieniężyć swego nazwiska i stanu kawalerskiego a bezowocnymi usiłowaniami swymi zyskał sobie tylko przydomek nieustającego kawalera. Był jednak chętnie widziany w każdym salonie raz dla sławy, jaką sobie zjednał w okolicy przez niezmordowane konkury, a powtórę, że był pełen dobrych manier, wyrażał się dobrym akcentem francuskim, dla którego to powodu konwersacja z nim była bardzo pożądaną, bo była niejako dokończeniem edukacji dla okolicznych panien. Oprócz tego baron wiedział dużo nowinek, trzymał jeden dziennik niemiecki, czem niesłychanie imponował szlachcie a nawet Żydom i reprezentował najświeższą modę, czem znowu do desperacji przyprowadzał urzędnika od asekuracji, który miał także pewne pretensje do elegancji, a którego jednak baron zawsze na tym punkcie pobijał w opinii publicznej.

Ale to już nie należy do rzeczy – wróćmy na wieczór do państwa Rzepskich. Otóż wieczór ten rozpoczął się o dziewiątej w ten sposób, że do salonu rzęsiście oświeconego weszła ze swego pokoju pani Rzepka w jednej z owych siedmiu sukien, a mianowicie w sukni koloru pomarańczowego i zastała tam już zacnego małżonka swego we fraku, sprawionym umyślnie na tę uroczystość, a że kołnierz był nieco za wysoki a rękawy za długie – z dostojnej osoby radcy ledwie okulary, łysinę i końce palców widać było i to w tak małych dozach, że pani Rzepka wszedłszy na salę nie domyśliła się całkiem obecności męża w głębi fraka i zapytała: a gdzie mój mąż?

Pytanie to skierowaniem było do panny Pelagii nie młodej już, nie ładnej, ale pocziwiej i potulnej, która dla decorum miała towarzyszyć pani Rzepkiej do kąpiel. Panna Pelagia zapytana o radcę wskazała na frak obok niej stojący, z którego biedny pan Rzepski o ile mógł wychylił się, aby o ile możliwości uwidocznili się w oczach drogiej małżonki swojej. Po wzajemnym skonfrontowaniu się i wyrażeniu jeszcze raz życzeń przez pana radcę – wszystko troje usiadło w pustym salonie i czekało na przyjsie gości, a czekanie to trwało blisko dwie godziny, w którym to czasie wnętrze salonu wypełniło się powoli najdoborowszemi okazami płci męskiej. Płeć nadobna jednak jeszcze się nie pokazała. Przyczyną tego było to, że żadna z dam miasteczka nie chcąc uchybić tytułowi męża i własnej próżności, nie mogła się zdecydować być pierwszą. Wszystkie te damy w pełnym rynsztunku balowym oczekiwały w domach swoich z niecierpliwością telegraficznych depesz swych pokojówek, które wysłane zostały na zwiady przed dom radcostwa dla wymiarkowania sytuacji. Te wzajemne oczekiwania byłyby trwały Bóg wie jak długo, gdyby nie doktor, który znając i pod tym względem chorobliwe usposobienie swoich pacjentek, wysunął się z salonu na schody między czatujące pokojówki i każdej z nich szepnął na ucho: „idź powiedz pani, że pani może przyjechać, bo salon już pełny.” – Dzięki temu manewrowi doktorskiemu popartemu tringeldami dla usługowych pokojówek, wpół godziny salon u państwa radcostwa był pełny jedwabi, tarlatanów, szeptów, strojów, obmowy, rumianych twarzyczek, wesołych śmiechów, fraków, spojrzeń etc. etc. etc. Poważne damy obsiadłszy gęsto kanapy, gniotły się jak mogły, byle tylko nie ubliżyć swojej godności i nie być zdegradowanymi na fotel. Panowie starsi zjawiali się na boku na preferansie i wista, a młodzież naciągając mankiety, nurzając brody w obróżki ze stojących angielskich kołnierzyków lub bawiąc się łańcuszkami od zegarków, szykowała się do angażowania panien, które ściany w około były udekorowane.

Wszystkie jednak te pragnienia wstrzymywane być musiały czas jakiś na wodzy przez grzeczność i uszanowanie dla pani burmistrzowej, która czułaby się w wysokim stopniu obrażoną, gdyby przed rozpoczęciem zabawy nie proszono jej usilnie o śpiew. Była to słaba strona

pani burmistrzowej, którą uwzględniano na wszystkich mniejszych i większych wieczorkach gubernialnego miasta i gospodini idąc za przyjętym w tym względzie zwyczajem, przypuściła szturm do pani burmistrzowej wraz z całą młodzieżą, prosząc usilnie o uraczenie towarzystwa jaką aryą. Pani burmistrzowa znowu, także według przyjętego przez siebie regulaminu, poczęła się wymawiać niedyspozycją, chrypką, katarą etc.; aż w końcu pokonana wymownymi prośbami dała się poprowadzić w tryumfie baronowi Rumpell do fortepianu i zanuciła *il bacio*! Nie było jednej pary uszów w całym mieście, którym by ta pieśń nie dała się wielokrotnie we znaki; pani burmistrzowa bowiem śpiewała ją na każdym wieczorze, w domu i za domem i na każdym miejscu. Ile kroć woźny magistracki wdziawał liberyą i obchodził miasto z biletami zapraszającymi na wieczór muzyczny i herbatę – każdy zaproszony był z góry przygotowany, że herbaty będzie bardzo mało i to z zimną przekąską; ale za to muzyki obficie, dużo – a wśród muzyki nieśmiertelne *il bacio*! Pani burmistrzowa śpiewała je z przejęciem, otwarte jęj usta z utęsknieniem wołały o pocałunek, którego to jednak pragnienia nikt z obecnych nie byłby się ośmielił zaspokoić, choćby ze względu na samego pana burmistrza, który jednak jak mówiono, nie bardzo chętnie korzystał z przysługującego mu prawa i głuchym zwykle bywał na rozpaczne wołania swęj połowicy o *il bacio*!

Skończyło się nakoniec owo nieśmiertelne *il bacio*; pani burmistrzowa wśród grzmotu oklasków i pochwał wróciła na swoje miejsce na kanapie eskortowana przez barona Rumpell; panowie starsi zrejterowali do zielonych stolików, a młodzież zbliżyła się do panien. Urzędnik od asekuracji, któremu zwykle dawano jeneralną komendę nad nogami i muzyką, wystąpił na środek i do orkiestry składającej się z pięciu muzykantów wyznania mojżeszowego odezwał się z powagą:

– Walc.

Potem zmierzyszy okiem znawcy cały zastęp panieński zbliżył się do córki poczmistrza i rzekł: służę pani.

Za urzędnikiem stanął baron Rumpell z panną Liwską, mającą sperandę na niezłą fortunę po najdłuższej śmierci cioci. Pan baron w braku pewniejszych partyj assekurował się zwykle w sercu panny Liwskiej. Za baronem stanął przystojny emigrant z Lucynką Apfelbaum, córką właściciela galanteryjnego sklepu, za tymi inni z innemi i puszczono się w taniec.

Tylko panna Pelagia nieboraczka siedziała pod ścianą z założonemi rękami, zmuszona poprzestać na przypatrywaniu się skocznym parom. Pani radczyni zajęta gośćmi i pomarańczową suknią zapomniawszy całkiem o niej, pan radca także, spełniający funkcję gospodarza i zmuszający gości do kieliszków przykładem, nie miał czasu myśleć o kuzynce.

Po walcu roznoszono limonadę. Panna Pelagia nie tyle dla ochłodzenia się, ile dla zabicia czasu wzięła także szklaneczkę w rękę i bawiła się nią popijając od czasu do czasu. Wtem na środku znowu pojawił się mistrz tańców i zapowiedział kadryla. Stały pary w szyku bojowym, urzędnik assekuracyjny jak generał uwijał się wśród kolumn ścieśnionych, rzucając głośną komendę, a panna Pelagia jak siedziała tak siedziała, tym razem już ze szklanką w rękę.

Dopiero podczas mazura pan radca wracając już niebardzo pewnym krokiem do sali zwrócił na nią uwagę i spytał:

– A cóż ty Pelciu nie tańczysz?

– Jak wujaszek widzi – odrzekła z uśmiechem.

– I czemuż?

– Dla bardzo prostej przyczyny, bo mnie nikt nie prosi.

– Czekaj, zaraz ci się postaram o tancerza.

Obejrzał się w koło a widząc barona siedzącego poważnie pod oknem zbliżył się do niego rzekł:

– A to co? pan odpoczywa? a pfe, a nie ładnie. A któż będzie tańczył, jeżeli wy młodzi będziecie siedzieć?

– Baron uśmiechnął się – epitet **młodzi** pogłaskał go po sercu, zapomniawszy o łysinie i czterdziestce i rzekł:

– Zabrakło dla mnie damy, panie radco.

– Wolne żarty. Baron narzeka na brak dam – komu to mówić! A ta pod lustrem.
Baron się skrzywił.

– Ta? – rzekł. – Panie radco jesteś złośliwy, częstujesz mnie antykami. Któż to jest?

– To moja kuzynka Pelcia Naworska.

– A, to przepraszam.

– Nic nie szkodzi. Wiem, że ona sama o to by się nie zgniewała, bo nie ma wcale pretensyj do piękności. Brzydka, bo brzydka, ale za to panie dobrodzieju – ma. —

Nie dokończył, bo żona go właśnie w tej chwili odwołała. Ale baronowi wystarczyło to słówko **ma**, resztę dorobiła jego żywa wyobraźnia.

– Ma pieniądze – pomyślał sobie i spojrzał pod lustro. Panna Pelagia wydawała mu się tym razem wcale niczego, znalazł ją nawet bardzo miłą. W tym samym czasie pani radczyni, którą emigrant poprosił do figury mazurowej, przypomniawszy sobie o kuzynce, zrzekła się tej przyjemności na jej rachunek i poprosiła tancerza, by ją wybrał. Przez to się stało, że równocześnie prawie emigrant i baron stanęli przed zdziwioną Pelagiją.

– Czy mogę – spytał baron.

– Proszę – zawołał emigrant i nieczekając na decyzję panny wyciągnął rękę i porwał ją w taniec.

– I on już wie o pieniądzech, źle – pomyślał sobie baron – inaczej nie byłby z nią tańczył.

– Baron z nią chciał tańczyć – myślał sobie emigrant wywijając hołupce z Pelagiją, w tem coś jest. Zdaje się, że baron musi tu wachać grube pieniądze; on ma dobry nos na takie rzeczy.

Ta uwaga skłoniła go, że poprosił natychmiast Pelagię do następnego mazura. Emigrant był bowiem antagonistą i współzawodnikiem barona w wyścigach matrymonijalnych, tym niebezpieczniejszym, że był o wiele młodszym i przystojniejszym od barona.

Ledwie Pelagija usiadła na swoim miejscu, wnet zjawił się baron z melancholicznym wyrazem na twarzy i usiadłszy obok niej odezwał się:

– Nie uwierzy pani ile mnie to zmartwiło, że przy pierwszym zbliżeniu się do pani otrzymałem jakby to powiedzieć —

– Koszyk – rzekła Pelagia z otwartością i swobodą, która była jej właściwą.

– Niech tak będzie, jeśli się pani to tak nazwać podoba.

– Ależ pan, panie baronie, powinieneś się już być oswoić z koszykami – rzekła Pelagija wesoło.
Baron połknął tę pigułkę i pomyślał sobie w duszy:

– Teraz przysiągłbym, że ma grube pieniądze. Panny bez posagu nie bywają takie rezolute.

Biedny baron tak był przyzwyczajony do koszyków od posażnych panien, że teraz na pewniaka w każdym koszyku wietrzył posag. Z respektu więc przed tym posagiem połknął złośliwy żarcik Pelagii i udając fantazyję rzekł:

– Są rzeczy, do których się nigdy przyzwyczaić nie możemy. Do tych należą te – tak nazwane przez panią koszyczki. – Najlepszym tego dowodem jest to, że niezrażony pierwszym niepowodzeniem przychodzę prosić panią do drugiego mazura.

– Już tańczę.

– Już?

Baron się zmieszał. Nie na rękę mu to było, że ktoś inny już go uprzedził w podbieraniu się do złotej żyły, na którą zdawało mu się przedtem, że sam jeden natrafił.

– I któż jest tym szczęśliwym? – spytał z niesmakiem i źle tajoną zazdrością.

– Ten pan, który przed chwilą mnie wybrał do mazura.

– H! Pan Eustachy. – Pani go zna?

– A skąd? Pierwszy raz dziś go widzę.

– Radzę pani jako przyjaciel domu postępować ostrożnie z tym panem.

– Czy może źle tańczy?

– Nie, ale to człowiek lekkomyślny i nie dający żadnej gwarancyi.

– Gwarancyi – do czego?

– Jak Boga kocham ma pieniądze – pomyślał sobie w duszy baron – bo umie udawać, że nie rozumie. Panny bez posagu rozumieją już pierwój, za nim się im coś powie.

Tak rozumował baronek Rumpell i wskutek tego rozumowania, opartego na długim doświadczeniu, postanowił osłabić nieco natarczywość ataku, by sobie panny nie zrażać i spytał ze słodkim poddaniem się zafarbowanemu smutkiem:

- Więc pani nie ma dla mnie żadnego taneczka?
- Owszem, tego nie mówiłam.
- A więc może drugi kadryl – pochwycił skwapliwie.
- Dobrze.

Twarz barona rozjaśniła się. Kadryl to jak raz taniec do poczynienia dyplomatycznych kroków, które w walcu skończyć się mogą zwycięstwem i wieczystym pokojem. Mazur w matrymonialnych kampaniach barona okazał się bardzo niepraktycznym; a raz nawet skompromitował go, gdy bowiem oświadczając się jednej pannie spytał się po cichu miękim, słodkim głosem – czy chcesz pani ze mną znosić... „Krzyż” zawołał głośno komendant mazurów „panowie krzyż”, a panna zaczęła się śmiać tak gwałtownie, że ledwie spazmów nie dostała. Dlatego baron wcale nie zazdrościł pięknemu Eustachemu mazura i z zadowoleniem robił w głowie próby do dyalogu przy kadrylu. Tymczasem pan Eustachy, którego manewra barona utwierdziły w pierwotnym domyśle i mocno niepokoić zaczęły, chcąc go zdemaskować i ośmieszyć w oczach wszystkich, tajemnie podszeptował młodzieży, że to leży w jej interesie, aby nie pozwoliła, iżby jeden tylko baron miał wyłączny przywilej na obtańcowywanie posażnych panien i zachęcał, by ją odbito. Pan Eustachy chciał w ten sposób dobyć się do kasztanów nie parząc sobie palców. Wiadomość o posagu lotem błyskawicy rozeszła się między młodzieżą i panna Pelagija była w formalnym obleżeniu. Ten prosił do polki, ten do walca, ów do mazura, inny do trotezy do pierwszej, drugiej a nawet do siódmej *toury*, a że tańczyła doskonale więc młodzież nie miała słów na wychwalanie jej. Jak lekko tańczy, jaka gracyjna w tańcu, a jaki humor, jaka wesołość i przytomność, jaki przy tym szyk i imponująca postawa. O twarzy zamilczano przez prostą grzeczność dla posagu.

Pan radca widząc takie szalone powodzenie kuzynki zwrócił na to uwagę żony i odezwał się:

– Patrzajno Zosiu, jakie Pelcia ma szczęście. A! toż formalnie rozbijają się o nią. – A to ja jej się tak przysłużyłem, poprosiłem barona...

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.